

# Wybierz swój model kobiecości

Autor: Lidia Czyż



W ciągu zaledwie kilku lat dokonana się rewolucja obyczajowa, która zaczyna podważać całkowicie wszystkie filary dotychczasowego życia rodzinnego. Kobieta ma być wolna, niezależna, samodzielna. Motto życiowe - samorealizacja, indywidualizm i wolność! Po co w ogóle kobiecie mężczyzna, po co ślub, już prędzej dziecko.... Tradycyjny model rodziny nie tylko się chwieje, ale wręcz wali. Ludzie boją się ślubu, a coraz częściej, przy słabym sprzeciwie społeczeństwa, małżeństwem nazywa się już nie tylko, związek kobiety i mężczyzny.

Moja babcia nie miała tego problemu. Urodzona po nad 80 lat temu, na początku XX wieku, w bardzo pobożnej, wzorowej rodzinie, wychowywana była na cichą, pokorną, uległą żonę. I taką była przez 43 lata małżeństwa. Każde życzenie męża istniało po to, by babcia mogła je spełnić. Wstawała o 5 rano i przez cały dzień krzątała się po kuchni czy w ogrodzie, by nakarmić swą rodzinę, cerowała, szyła, prała. W czasie obiadu podawała dania mężowi i czwórce dzieci - a gotowała świetnie, bo skończyła, a jakże, szkołę gospodarstwa domowego. Sama przysiadła zaledwie na kilka sekund i przetykała kilka łyżek zupy (zresztą przez cały okres małżeństwa jedli z dziadkiem z jednego talerza). Jej praca zawodowa polegała w zasadzie na ustawicznej pomocy mężowi - zawsze w jego cieniu, ci cha i skromna, zarabiająca grosze. To jego chwalono, dziękowano, a ona była dostrzegana raczej jako jego druga połowa. Nigdy się nie skarżyła na męża, nigdy nie robiła mu wymówek, jedyne co można było usłyszeć, to z lekką naganą wypowiedziane słowo „Jasieczku...”.

Moja mamusia nie była już taka potulna. Jej młodość przypadła na zupełnie inne czasy. Nie zmienił się jeszcze znacząco model wychowania, ale młode kobiety zaczęły otrzymywać prawa podobne do mężczyzn. Podobne, bo do równouprawnienia było jeszcze bardzo, bardzo daleko. Niestety, z powodów finansowych nigdy nie udało jej się - jak i wielu jej rówieśniczkom - studiować, ale zaraz po maturze poszła do pracy. Zrezygnowała z niej na kilka lat, gdy ja i brat byliśmy mali, ale potem znalazła inne zajęcie i pracuje nadal. Dzięki temu zawsze miała, może niewielkie, lecz własne pieniądze. Podobnie jak babcia, jest świetną gospodynią - codziennie gotuje świeże, pyszne obiady, potrafi zacerować każdą dziurę. Jednak nigdy nie chciała stać tylko w cieniu męża. Chociaż - jak wiele jej koleżanek - nigdy nie zdobyła prawa jazdy, ale pisze wiersze, wyjeżdża na konferencje zagraniczne, ma swoje zdanie w wielu sprawach. Wychowywana byłam w domu, w którym przeplatały się oba te modele kobiecości.

Otoczający świat stale się zmieniał, ale większość znanych mi kobiet była dobrymi gospodyniami domowymi, bez sprzeciwu spełniającymi rolę „strażniczek domowego ogniska”. Nawet jeśli pracowały zawodowo na pełnym etacie - a wiele z nich tak robiło - ich główną rolą była rola żony i matki. Żadna nie planowała zapewne, ile będzie miała dzieci, czy zdoła je utrzymać, tylko przyjmowała kolejnego potomka jako rzecz raczej naturalną (inna sprawa, czy odbywało się to zawsze z radością), pichciła obiady, prała, maglowała i sprzątała. Postać matki to był filar rodziny - na niej, na wet jeśli była to cicha i skromna osoba, opierał się cały dom. Mężczyzna był w nim częściej nieobecny niż obecny, a jeśli już był, to niezwykle rzadko sprzątał, gotował czy wyko-

nywał inne, uważane za „babskie” czynności. Mógł co najwyżej czyścić buty, ale prasować? Większość mężczyzn uważała to za poniżenie męskiej godności. On był od przybijania gwoździ, rąbania drewna, instalowania lamp i zarabiania pieniędzy. Nigdy nie miałam poglądów feministki, wejście w rolę „żony i matki” też nie sprawiło mi trudności. Jasne, że nie byłam za chwycona tym, że większość czynności domowych muszę wykonywać sama. Ale przecież taki model widziałam w większości domów. Prasa kobieca lat 80-tych radziła, jak być dobrą gospodynią domową i zrobić kotlet z chleba; o feminizmie wtedy mówiono jak o mrzonce zachodnioeuropejskich kobiet.

Jednak nadeszła inna epoka. W ciągu zaledwie kilku lat dokonała się rewolucja obyczajowa, która zaczyna podważać całkowicie wszystkie filary dotychczasowego życia rodzinnego. Kobieta ma być wolna, niezależna, samodzielna. Motto życiowe - samorealizacja, indywidualizm i wolność! Baw się i kochaj - zachęcają kobiecie czasopisma (mnie uczono: módl się i pracuj). Po co w ogóle kobiecie mężczyzna, po co ślub, już prędzej dziecko, bo wrodzoną potrzebę posiadania małej istoty jednak niełatwo stłumić. Tradycyjny model rodziny nie tylko się chwieje, ale wręcz wali. Ludzie boją się ślubu, a coraz częściej, przy słabym sprzeciwie społeczeństwa, małżeństwem nazywa się już nie tylko, związek kobiety i mężczyzny.

Wolne związki, realizowanie się w pracy, wolność wyboru. Dzieci - te, które się jeszcze w ogóle rodzą - traktuje się jak lokatę kapitału - zapisuje w kolejce do przedszkola zaraz po urodzeniu, wozi na zajęcia pozalekcyjne przez całe popołudnie. Naukowcy mówią o „niekorzystnych stereotypach kładących kobietom godzić pracę zawodową z obowiązkami rodzinnymi, do których większość mężczyzn poczuwa się w niewielkim stopniu”.

Stereotyp? Zapewne tak. Dlatego co raz częściej przeciwko niemu kobiety się buntują. Bo dlaczego tylko kobieta lub przymuszone do tego dzieci mają zmywać naczynia, obierać ziemniaki, ścierać kurze, dlaczego tylko ona wie, jak obsługiwać pralkę (to chyba nie taka filozofia dla dorosłego mężczyzny?). Dlaczego mężczyzna, sprząając w domu (no, czasem to się zdarza w niektórych domach naprawdę), robi to na łapu-capu, a kobieta połowę urlopu poświęca na przeglądanie szaf, łatanie ubrań, mycie okien, odkurzanie wszystkich zakamarków za tapczanami i sprząatanie piwnic tudzież werand i garaży? Czy tak powinien wyglądać podział „obowiązków małżeńskich”? No więc, chcemy rewolucyjnej zmiany.

Równe prawa i obowiązki. Ja też pracuję zawodowo, też przychodzę zmęczona czy wręcz wykończona z pracy. Ja też mam prawo położyć się z gazetą na tapczanie. Dlaczego to mąż nie czuje się w obowiązku posprzątać czy pozmywać naczynia? Dlaczego to nie on troszczy się o to, co będziemy jedli na obiad? Powoli rodzi się sprzeciw. Dlaczego ja? Nie, dziś nic nie robię. Może jak zrobi się większy bałagan, to zaczną sprzątać? Niestety, nie wpadają na taki rewelacyjny pomysł, bo oni po prostu bałaganu nie widzą. Tylko ja coraz gorzej czuję się w tym mieszkaniu.

Obiad? Mamusiu, jesteśmy głodni - tego wołania chyba żadna matka nie wytrzyma bez ruszenia się do kuchni. Jasne, że starsze dzieci zrobią same naleśniki czy zupę z proszku, ale jak długo można karmić tym rodzinę? A gdy w dodatku po domowym, nawet najzwyczajszym obiedzie, usłyszysz się po chwały najedzonej rodzinki, wtedy kobieta czuje się szczęśliwa.

Walające się rupiecie w garażu? Liczyć na to, że mężczyzna wyrzuci coś, co zawsze może się jeszcze przydać? No więc jeśli ja mam mieć dobre samopoczucie, muszę zmobilizować męża do wspólnego sprzątanego. Jasne, że wolę wieczorem oglądać film w TV niż przejrzeć zeszyty dzieci,

wolę czytać gazety niż prasować. Mogę i czasami mam ochotę tak robić. Ja też chcę być wolną, samorealizującą się i kreatywną. Po co tracić czas na wiecznie powtarzające się i mało efektywne czynności, za które nie dość, że nie dostaje się pieniędzy, to jeszcze rzadko kto to zauważa i docenia. Przeżywam wewnętrzny bunt przeciwko tym syzyfowym wysiłkom. Będę nowoczesną kobietą, będę leżeć z maseczką na kanapie, zamówię pizzę i nie zamierzam za nikim sprzątać porozrzucanych skarpetek. Koniec ze stereotypami. Tylko czy moja rodzina - i ja - będzie my wtedy szczęśliwsi? Dla mojej kochanej babci słowem - kluczem było służenie. Ona po prostu służyła mężowi. Co za niemodne, staroświeckie słowo! Okropne! To wyzysk kobiety przez mężczyznę! A jednak to był klucz do szczęśliwego małżeństwa. Poświęcenie części siebie dla innego człowieka. Dobrowolne, z własnej woli, często trudne i bolesne, ale właśnie służenie powodowało, że stworzyli trwałe, szczęśliwe małżeństwo. Czy służenie wyklucza samorealizację, wolność i indywidualizm? W pewnym stopniu tak. Ale to jedyny klucz do tworzenia szczęśliwych rodzin, do ratowania rozpadających się coraz częściej małżeństw. Jezus Chrystus przed ostatnią wieczerzą z uczniami umył ich brudne, zakurzone po całym dniu nogi. Powiedział przy tym do zszokowanych tym faktem apostołów, że jest to przykład, jak mają służyć sobie wzajemnie. Nie chodziło o gest, chodziło o przykład postawy pełnej miłości, wyrzeczenia i pokory. Ileż razy słyszałam czy czytałam ten przykład, a jak trudno zastosować go, obierając ziemniaki, wycierając podłogę, sprząając rozrzucone ubrania, pod ręczniki czy zabawki. Chcę mieć podobne prawa jak mój mąż, a Jezus mi nakazuje: „Wśród was ten będzie przewodzić, kto najofiarniej służy” (Łk. 22:26 - *Słowo Życia*).

Oczywiście, nie uważam za właściwy model małżeństwa, gdzie kobieta wykonuje wszystkie roboty domowe, a „pan i władca” leży z gazetą i butelką piwa, albo gdy bezrobotny mąż, gapiąc się w telewizor, czeka na powrót żony z pracy, by ugotowała mu obiad. Nie, zapewne nie o takim modelu „służenia” myślał Jezus. Służenie nie oznacza, że nie mam swoich praw i racji. Nie oznacza, że nie mam prawa do odpoczynku, chwili relaksu czy innych przyjemności. Nie oznacza potulnej uległości wobec wszystkich decyzji męża i braku własnego zdania. Dla mnie oznacza, że wykonując codzienne, banalne czynności domowe, nie czuję się wyzyskiwaną służącą. Robię to wszystko, chcąc służyć mojemu mężowi i dzieciom. Oznacza też, że zrezygnuję z kariery zawodowej, jeśli miałoby się to odbyć kosztem mojej rodziny. Że nie pójdę z koleżanką na kawę, gdy w domu czekają na mnie dzieci ani nie kupię sobie nowej bluzki zamiast prezentu dla rodziny. Że będę umiała zrezygnować ze swojego prawa do wolności i niezależności. Tak jak Jezus. Bo w tym postmodernistycznym, niewidzącym sensu i celu życia świecie, tylko wzór biblijny zachowuje niezmienną wartość. Nie Ally McBeal, nie Bridget Jones, nie świat ekskluzywnych czasopism kobiecych. Wzorem jest tylko Jezus.

*Artykuł publikujemy za zgodą wydawnictwa "Nasze Inspiracje" (4/2004)*